

Magdalena Gawin: Przede wszystkim chcemy uratować rodziny ofiar

Polacy, którzy zginęli za pomoc Żydom, są najbardziej poszkodowaną grupą. Nie są zaliczani ani do Sprawiedliwych, ani do Ofiar Holokaustu. Nie mają nazwy. Zamordowani – nieuznani. A w Polsce żyje tysiące członków rodzin ofiar. I muszą żyć z ogromnym ciężarem – mówi Magdalena Gawin w rozmowie z Grzegorzem Górnym, która ukazała się na łamach wpolityce.pl.

Grzegorz Górny (wpolityce.pl): Za nami upamiętnienie trzyosobowej rodziny państwa Lubkiewiczów z Sadownego oraz Antoniego Prusińskiego i Piotra Leszczyńskiego ze wsi Poręba-Kocęby. Teraz Instytut Pileckiego upamiętni Aleksandrę i Hieronima Skłodowskich ze wsi Skłody-Piotrowice. Potem będzie jeszcze Stoczek Węgrowski i Ostrów Mazowiecka. Wszyscy zginęli za pomoc Żydom. Skąd wziął się pomysł upamiętniania?

Magdalena Gawin (Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego): Kilka lat temu przez Polskę przetoczyła się dyskusja dotycząca pomnika Sprawiedliwych w Warszawie. Pomysł ostatecznie został zablokowany. Nie będę przytaczała wszystkich argumentów przeciwników tego pomnika, bo wszyscy je dobrze znamy: żeby Polakom nie przewróciło się w głowach i żeby nie spijali cudzych sukcesów, bo przecież pomagała mniejszość. Oddanie hołdu ludziom, którzy ryzykowali życiem własnym i rodzin, zeszło na plan dalszy.

Te osoby stanowiły, jak nazywam to roboczo, centrum oporu cywilnego. Moim zdaniem powinny być upamiętnione. Ale dyskusja nabrała dynamiki i usłyszałam dużo innych opinii.

Jakich?

Jak na przykład, że Niemcy zabijali za ukrywanie Żydów niezmiernie rzadko.

Na podstawie czego formułowane są takie opinie?

Na podstawie niczego. Nikt w Polsce nie miał pełnego dostępu do zeznań przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich. Kiedy robiłam własne śledztwo historyczne, siedziałam w pokoju prokuratora IPN i widziałam piętrzące się stosy teczek z zeznaniami, kompletnie niewykorzystywany lub bardzo fragmentarycznie znany materiał badawczy. Zanim przyszłam do Ministerstwa, przeczytałam setki takich zeznań. Może nawet więcej. W międzyczasie doktor Edward Kopówka i ksiądz Paweł Rytel-Andrianik wydali książkę pt. „Dam im imię na wieki”. Z niej dowiedziałam się o rodzinie Lubkiewiczów z Sadownej. Wsiadłam do samochodu i pojechałam tam na miejsce. Potem jeździłam już w każdy weekend. Sto kilometrów w jedną stronę i z powrotem. I tak przez dwa lata.

Jaki był wniosek?

Wokół Trebłinki nie zabijano za ukrywanie, ale za każdą formę pomocy Żydom. Proszę zobaczyć odległości między wsiami i miasteczkami, gdzie Instytut Pileckiego prowadzi teraz akcję upamiętnienia.

Dużo przeprowadziła Pani wywiadów z rodzinami?

Sporo. Interesował mnie cały kontekst okupacji. Staralam się zidentyfikować największego mordercę Polaków i Żydów na terenie powiatu Ostrów – Wyszaków odpowiedzialnego za masowy terror. Natomiast spotkania z rodzinami pomordowanych Polaków otworzyły mi nową przestrzeń.

To znaczy?

Są ciepłi, mili, gościnni, ale wyczuwało się u nich samotność. Instytut Pileckiego nakręcił już wywiady z dziećmi, świadkami mordowania rodziców. Są przejmujące.

Czyli z dziećmi Sprawiedliwych?

Większość z ofiar nie dostała statusu Sprawiedliwych. Wyjątkiem są Lubkiewiczowie. Ich sprawa wyszła w żydowskich świadectwach krótko po wojnie, potem była przedmiotem polskich śledztw. W 1969 roku do Żydowskiego Instytutu Historycznego wpłynął list naocznego świadka, Ireny Kamińskiej z domu Lubkiewicz, która patrzyła na wielogodzinne maltretowanie swojego brata i rodziców. Została

sierotą, nie miała pieniędzy na wykształcenie, musiała wcześniej podjąć pracę zarobkową. Tamta historia odcisnęła się piętnem na całym jej życiu. Medal rodzinie przyznano, ale w 1997 roku. Prawie 30 lat po wpłynięciu listu do ŻIH-u, 54 lat od tamtych wydarzeń. W tym czasie pani Irena zmarła.

Dlaczego tak się dzieje?

Izrael nie uznaje polskiej dokumentacji wytworzonej przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Musi być naoczny świadek żydowski, a w przypadku pomordowanych Polaków jest to bardzo rzadkie. Powiedzmy wprost: Polacy, którzy zginęli za pomoc Żydom, są najbardziej poszkodowaną grupą. Nie są zaliczani ani do Sprawiedliwych, ani do Ofiar Holokaustu. Nie mają nazwy. Zamordowani – nieuznani. A w Polsce żyje tysiące członków rodzin ofiar. I muszą żyć z ogromnym ciężarem.

Jak reagują rodziny na upamiętnienia rodzin pomordowanych Polaków?

Przede wszystkim z ulgą. Starsze pokolenie powtarza, że cieszą się, iż dożyli. Młodsze pokolenie przeżywa inaczej. Muszą się skonfrontować z historią, która w ich perspektywie jest niewyobrażalna.

Czy jakieś instytucje zapraszały rodziny pomordowanych Polaków za pomoc Żydom?

Nigdy o tym nie słyszałam. Poza incydentalnymi przypadkami na pewno nie. Nie było do tej pory bazy danych takich rodzin. Żadna instytucja nie robiła całościowych badań. Instytut Pileckiego jest pierwszy. Ale pierwszy najważniejszy krok zrobił Mateusz Szpytma, twórca Muzeum Rodziny Ulmów w Markowej.

Ale przecież tyle mówi się o ratowaniu Żydów...

Najczęściej z perspektywy, która wyklucza tę grupę. Miernikiem ratowania jest wynik procentowy uratowanych Żydów w stosunku do populacji, dalej stopień antysemityzmu, postawa Kościoła, etc. Nawet jeśli odnotowuje się fakt, że w Polsce i na Ukrainie zabijano za pomoc, to na tym ucina się wątek. Tymczasem rodzaj wymierzonej represji przez Niemców jest podstawowym czynnikiem możliwości udzielania pomocy oraz jej skuteczności. To, co cechuje postępowanie Gestapo czy żandarmerii w relacjach z Polakami, to skrajny sadyzm. Na wsiach rolnicy byli tłuczeni do nieprzytomności kijami, zdarzało się, że przez kompletnie pijaną żandarmerię. Po wykonaniu egzekucji ich domy były rabowane z dobytku, mebli, żywności, czasem palone. W miastach podczas przesłuchań na Gestapo szły w ruch obcęgi do wrywania paznokci. Przed śmiercią pomagający Żydom Polacy byli straszliwie znieważani i wyzywani. Mordowała ich, przepraszam, użyję mocnego słowa, hołota w mundurach. To oni sprawiali, że Żydzi stawali się życiem niosącym śmierć.

Jaki jest zatem cel upamiętnień tej grupy Polaków?

Przede wszystkim chcemy uratować rodziny ofiar. Nie mogą mieć poczucia, że ich bliscy zginęli na marne. Chcemy, żeby byli dumni z postawy swoich rodziców lub dziadków. I chcemy także wyraźnie wzmocnić wartości, które im przyświecały, i zintegrować wokół nich lokalne wspólnoty. Na wsiach i w małych miasteczkach były to osoby głęboko wierzące, odważne. Ich nikt nie skazał na śmierć, narażali się dobrowolnie. Nie mogą być popiołem historii. Integracyjny charakter nadają uroczystościom same wspólnoty lokalne.

Na przykład?

Przed połową Mszą świętą ksiądz proboszcz z Poręby dyskretnie zapytał przez posłańca, czy orkiestra może odegrać hymn narodowy. Czyli wszystko zrozumiał, bez słów. Nawiasem mówiąc ksiądz pięknie odnowił kościół, zabytkową plebanię, skuł paskudny tynk z kamiennego muru wokół kościoła. Dbą o dziedzictwo, to widać.

Ale to smutne uroczystości?

Nie do końca. Pracownicy Instytutu opowiadają tragiczną historię małych wspólnot, która staje się ich własnością, ich pamięcią. 24 marca w Dzień Polaków Ratujących Żydów każda wspólnota pójdzie w miejsce swoich upamiętnień. Orkiestra strażacka, Koła Gospodyń Wiejskich, nauczyciele, sąsiedzi, starosta, burmistrz, dzieci szkolne. Ksiądz odprawi mszę. Bo to jest ich własna historia. I nikt jej nie odbierze.

Rozmawiał Grzegorz Górny dla portalu wpolityce.pl. Publikujemy za uprzejmą zgodą autora.

Fot. Monika Olszewska